

Mariusz Zawodniak

Królewicz i murarz : socrealistyczne potyczki z fantazją

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1 (25), 84-93

1994

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Królewicz i murarz (surrealistyczne potyczki z fantazją)

Anty-bajka

Rzadko biografy Jerzego Harasymowicza informują o jego debiucie w roku 1953, zazwyczaj umieszcza się go trzy lata później. Ale nawet wtedy wspomina się tylko o wystąpieniach poety na łamach prasy literackiej, nie mówi się natomiast nic o charakterze tych publikacji. Zwłaszcza że — poza krótką prozą poetycką *Wawel* — nie powtórzy ich Harasymowicz ani w debiutanckim tomie *Cuda*, ani przy okazji kilku przeglądów jego poetyckiej twórczości.¹ A jest wśród wystąpień roku 1953 tekst zasługujący na uwagę. Chodzi o *Bajkę*, która jeszcze rok później znajdzie miejsce w literackim „Almanachu młodych; był on wówczas — jak głosiło słowo wstępne — hołdem „składanym przez literatów dziesięcioleciu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”². W hołdzie tym złożył poeta tekst pozornie mało znaczący. Przypomnijmy jego treść:

Bajka

Dziadek: „Był raz królewicz...”

(kot nastroszył wąs)

Dziadek: „Był raz królewicz...”

Dzieci nie słuchają.

Dziadek: „Był raz królewicz...”

ale dzieci

zapatrzone na MDM.

Dziadek: „Był raz królewicz...”

Dziadek: „Był raz królewicz...”

(kot nastroszył wąs)

ale dzieci przy szybie

liczą pomału murarzy.³

Bajka Harasymowicza jest — dość przewrotnie — krytyką bajki, próbą zdegradowania gatunku. Ale też — w swej przewrotności — naucza: tak

¹ Chodzi tu o wystąpienie Harasymowicza na łamach „Życia Literackiego” (1953 nr 32, s. 5), gdzie poeta zamieścił cztery niedługie utwory (*Bajka*, *Dom*, *Rozmowa łózek*, *Wawel*). Wszystkie one odpowiadają duchowi surrealistycznej poetyki, także *Wawel*, choć wzmianka o hutnikach i murarzach oraz robotnikach w kombinezonach jest może dzisiaj już mniej czytelna.

² „Almanach Literacki”, Warszawa 1954, s. 6 (przedmowę napisał Igor Newerły).

³ Tamże, s. 52

jak niefortunna okazała się próba snucia opowieści o królewiczu, tak też wątpliwa wydaje się korzyść mająca płynąć z lektury bajki. Lepiej się stanie, gdy dzieci skierują swą uwagę na to, co dzieje się wokół nas, gdy zaintryguje je nie przygoda królewicza, lecz los robotnika. Tak też się stało. Utwór Harasymowicza dowodzi bezsprzecznie zwycięstwa takiej edukacji. Takie też będą z pewnością efekty szkolnego kształcenia literackiego: w rywalizacji o miano ulubionego bohatera murarz (czy robotnik) zdystansuje królewicza, zaś w konkursie na najpiękniejszą książkową ilustrację wszystkich fascynować będzie nie zamkowe wzgórce — lecz plac budowy.

Dlaczego utwór Harasymowicza zatytułowany jest *Bajka*, nie zaś np. *MDM* czy *Murarze*? Przecież wyznaczniki gatunku praktycznie w ogóle nie określają struktury tego tekstu. Tytuł chce pełnić najwyraźniej funkcje prowokacyjne: pozwala czytelnikowi spodziewać się klasycznego schematu i rozwiązania, gdy tymczasem ma on do czynienia z utworem zgoła odmiennym; zaczyna się jak w bajce, lecz potem motywy się mieszają. Tekst daje niewątpliwie do myślenia, skłania odbiorcę do minimalnego wysiłku intelektualnego. Intencją utworu jest bowiem nie tylko eksponowanie — w myśl założeń poetyki socrealistycznej — symboli naszej rzeczywistości i obrazowanie pożądanej postawy najmłodszych, ale i przeprowadzenie subtelnej rozprawy ze szkodliwą czy zbyteczną literaturą (nawet przekazywaną ustnie). Dzieci — jak wiadomo — lubią, czy też — lubiły słuchać opowieści o królewiczach, ale czasy, w których dane jest im żyć, mają im do zaoferowania dobra o wiele większe i ważniejsze. Nie bez powodu więc bajka Harasymowicza burzy wszelkie oczekiwania związane z lekturą tego właśnie gatunku — dokonuje bowiem jego krytyki. Rezygnacja z tytułowych konotacji zatarałaby ślady takiego zamysłu, zwłaszcza że w samym tekście obecność bajki sprowadza się tylko do zachowania fragmentu klasycznej ekspozycji. Gdyby utwór nosił tytuł *Murarze* czy *MDM*, nie rościłby pretensji do bycia bajką, tym samym nie prowokowałby do rozważań o jej wyznacznikach i do konfrontacji z założeniami literatury lat pięćdziesiątych. Tytuł więc wywołał dyskusję o bajce jako o przekazie bezużytecznym (może nawet szkodliwym) dla socrealistycznej edukacji. Utwór Harasymowicza pozostanie zatem — ze względu na pewne okoliczności — tekstem nad wyraz szczególnym. Przypomina bowiem skrajną — wręcz patologiczną — wersję stanowiska, jakie zajmowano w dyskusji nie tylko o bajce, lecz o całej literaturze fantastycznej. Dodajmy — dyskusji prowadzonej początkowo nie u nas, lecz jeszcze przed 1939 rokiem w Związku Sowieckim. To oczywiście pewna prawidłowość. Wszystkie tezy określające kształt literatury socjalistycznej zostały tam najpierw jasno postawione — i nie po to, by je przeinaczać,

lecz przejmować i upowszechniać. Ale dyskusja o bajce pozostanie wyjątkowym rozdziałem w życiu literackim państwa budującego socjalizm. Literatura fantastyczna zamierzała bowiem opierać się doktrynie. I to bynajmniej nie z powodu racji gatunkowych, lecz występując w obronie niezbywalnego prawa dziecka do bajki (zasadnicza dyskusja toczyła się więc wokół bajki dziecięcej; w Polsce prowadzona była niemal wyłącznie w kręgu zainteresowanych literaturą dla najmłodszych).

Niestety, w latach stalinowskiego reżimu edukacja była nastawiona wyłącznie na kształtowanie, a w zasadzie — na wyrabianie świadomości dnia dzisiejszego (na dodatek jasno i jednoznacznie zinterpretowanego). Taka świadomość zastąpić musiała wyobraźnię, której domeną jest przecież ruch myśli, zmienność obrazów — także światów. Właśnie dziecięcą wyobraźnię kształtują w dużej mierze przekazy bajkowo-baśniowe, ale ponieważ kreują one rzeczywistość fantastyczną, więc ich racja bytu w okresie, o którym mowa, została podważona. W toczącej się latami dyskusji o prawo do bajki szło jednak nie tyle o literaturę, ile o świadomość proletariackich dzieci. Literatura fantastyczna mogła być jej poważnym zagrożeniem.

Kliniczny przypadek takiego poglądu zarejestrował i dość obszernie zrelacjonował — w kolejnych wydaniach swej książki *Od dwóch do pięciu* — znany pisarz dla dzieci, Kornel Czukowski. Spisane tam doświadczenia dowodzą bezsprzecznie, iż doktrynerzy takiej polityki i szkoleni na jej strażników liczni zwolennicy — padli ofiarą maniakckiej działalności sowieckich pedologów, „którzy utrzymywali, iż proletariackim dzieciom nie są potrzebne ani bajki, ani zabawki, ani piosenki”.⁴

„Proponujemy zastąpić ludowe nierealne, fantastyczne baśnie przez zwykłe realne opowiadania, wzięte ze świata rzeczywistego i przyrody!” (s. 185) — pisała uznawana wówczas w Moskwie pedolog Stancyńska, znana na dodatek z tego, iż własnego syna chroniła przed bajkami, a „opowiadając mu o zwierzętach wymieniała tylko takie, które widział na własne oczy” (s. 185). Szkód podobnego wychowania nie da się ocenić, jedno wszakże jest pewne: prowadziło ono do wypaczenia i kalectwa dziecięcej wyobraźni. Dla przykładu jedno z wymownych wspomnień Czukowskiego:

Z głębokim współczuciem przeczytałem w jednym z czasopism o czterolatku, tak oglupionym przez swoich wychowawców, że kiedy matka opowiedziała mu pełną poezji bajkę o cudownych łabędziach, również zaczął jej zarzucać łgarstwo:

⁴ K. Czukowski *Od dwóch do pięciu*, przeł. i oprac. W. Woroszyński, Warszawa 1962, s. 184. Pozostałe cytaty lokalizuję w tekście.

— Ciągłe kłamiesz, mamó: piec nie umie mówić i jabłko nie umie mówić, i rzeczka nie umie mówić, a dziewczynka nie schowała się do rzeczki, tylko utonęła [s. 197].

Ten z pewnością skrajny przypadek przypomina dzieci z Orwellowskiej powieści, które skutecznie otumaniane przez podobnych pedologów gotowe były zadenuncjować (i niejednokrotnie denuncjowały) własnych rodziców. Przykłady takiego chorego sposobu myślenia i określania elementów rzeczywistości nie należały wówczas do rzadkości. Przyjrzyjmy się na przykład zanotowanym przez Czukowskiego wypowiedziom dzieci:

- Dobrze im tak, burzujom!
- [s. 95; reakcja na wiadomość, że kiedy w ZSSR jest dzień, w Ameryce panuje noc]
- Jak rąbnę człowieka!
- Jak można rąbnąć człowieka!
- Nie człowieka — burzuj! [s. 117]
- Kto to jest na obrazku?
- Krasnoludek.
- Faszysta czy nasz? [s. 96]

Komentarz jest zbędny. Trudno się dziwić, że kiedy pisarz na jednym ze spotkań zaczął czytać dzieciom *Münchhausena*, wywołał natychmiastową reakcję wychowawców: „Jakim prawem czyta pan te świństwa naszym dzieciom?” (s. 180). A kiedy ogłaszał swe kolejne utwory, mógł znaleźć w gazetach (jeszcze w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych) takie oto listy:

Znowu po raz któryś z rzędu ukazał się utwór Kornela Czukowskiego o *Muszcze Złotobrzuszcze*... Jak długo jeszcze K. Czukowski będzie wprowadzał w błąd dzieci radzieckie? [...] Czukowski wydaje muchę za dzielnego komara. To przeciwne naturalnie, ażeby komar żenił się z muchą. Wesz nie może ożenić się z pluskwą ani komar z muchą... [s. 216–217; w podpisie — „A. Kołpakow, kandydat nauk historycznych”]

Dzisiaj to wszystko ma prawo wymykać się naszej wyobraźni; staje się jakby bajką („czarną bajką”), chociaż w historii pozostaje zjawiskiem prawdziwym. Trudno to pojąć, ale u podstaw proletariackiej pedologii legło istotnie prymitywne założenie, jakoby bajka zgubnie wpływała na świadomość dziecka, zakłócała na długie lata poczucie rzeczywistości i umiejętność obcowania w realiach. Stąd też kolejne założenie o konieczności izolowania właśnie najmłodszych od szkolnych przekazów (skoro nie da się ich do końca wyeliminować z życia). W konkluzji można więc tylko podpisać się pod sądem Kornela Czukowskiego:

wymysł o zgubności bajek jest najbardziej obłąkaną czarodziejską bajką, nie liczącą się z żadnymi faktami. To jedyna bajka, z którą należy walczyć — bajka zacofanych pedagogów o bajce [s. 194].

„Za dużo królewiczów i królewien”

Historia sowieckiej pedologii miała się u nas nie powtórzyć. Na odbywającym się w czerwcu 1947 roku kongresie poświęconym literaturze dla dzieci wyrażano jednak obawy przed zaistnieniem podobnego zjawiska w Polsce.⁵ Przypominano:

[Książka Czukowskiego] powstała jako krytyczna reakcja na pewne wynaturzenie twórczości literackiej dla dzieci w pewnym określonym momencie w ZSRR. Wynaturzenie to polegało na próbie usunięcia fantazji i nonsensu z twórczości dla dziecka [...]. Aktualna może [...] stać się ta sprawa i u nas w niedalekiej przyszłości, wobec zarysowujących się obecnie tendencji zbliżonych do tych, z którymi walczyć musiał Czukowski.⁶

Jednak w dyskusji zjazdowej nie podzielono tego stanowiska (a na tłumaczenie książki Czukowskiego przyszło jeszcze poczekać 15 lat). Obawy o to, że realizm w literaturze mógłby zagrażać fantazji, uznano za bezzasadne. Ale w końcowych uchwałach zapisano wyraźnie: „Literatura dziecięca winna służyć wychowaniu nowego człowieka w duchu aktualnych przemian społecznych”.⁷

W praktyce prowadziło to do obrachunku z dotychczasową produkcją i do upowszechniania najnowszych tendencji. Przystępując na przykład do głośnej krytyki bajek Grimma, uznano obecne w nich — i we wszystkich innych bajkach — pierwiastki zemsty, okrucieństwa czy podstępności za wysoce niemoralne.⁸ Zakwestionowano też rozwiązania niektórych klasycznych schematów, prostując w nich przede wszystkim spaczone — zdaniem nawet samych pisarzy — formy nagradzania pozytywnych bohaterów: występowano przeciwko pojęciu szczęścia łączonego z nadmiernym posiadaniem (nagrodą bywała przecież połowa królestwa, ożenek z księżniczką, a tym samym — zapowiedź beztrudnej przyszłości). W uwagach typu: „za dużo królewiczów i królewien” odnoszono się więc krytycznie do tych fabuł, które za bardzo odwoływały uwagę młodego odbiorcy od wydarzeń dnia codziennego. Zabiegi przewartościowujące schematy i rozwiązania klasycznej bajki, jej tradycyjne motywy — prowadziły więc w prostej linii do urealistycznienia

⁵ Kongres poświęcony literaturze dla dzieci odbył się w Warszawie (1–4 czerwca). Sprawozdania z wystąpień i omówienie dyskusji zamieszczono w „Ruchu Pedagogicznym” (1946/47 nr 4 i 1947/48 nr 1).

⁶ S. Baley *Literatura dla dzieci a etyka*, w: „Ruch Pedagogiczny” 1946/47 nr 4, s. 311.

⁷ Zob. Uchwały zjazdu poświęconego literaturze dla dzieci (p. 2), w: „Ruch Pedagogiczny” 1947/48 nr 1, s. 66.

⁸ Zob. W. Osterloff *Kryminalistyka i bajki Grimma*, „Odrodzenie” 1946 nr 19; M. Librachowa *Uwagi nad literaturą dla dzieci i młodzieży*, w: „Ruch Pedagogiczny” 1946/47 nr 2.

bajki dziecięcej, która w nowej wersji oddawać mogła wielką przysługę doktrynie: akcja toczyła się w mieście, w którym jeździły tramwaje, u szewczyka w warsztacie buciki mówiły do siebie: towarzyszu, krasnoludki zjawiały się w pegeerze, a księżniczki czy królowny (jeśli występowały) śniły o robotnikach bądź były wybawiane przez dzielnego hutnika; nawet królewiczowi, który odnalazł swego kopciuszkę nie dane było pozyskać jej ręki, gdyż nie potrafił szyc butów.

Dzieci powinny być świadome doniosłości zdarzeń dokonujących się w rzeczywistości realnej, winny też postrzegać i uznawać wielkość czynu pracujących murarzy i wszystkich budowniczych ojczyzny (trzeba więc wyraźnie wzmoczyć czujność, gdyż światopogląd magiczny wpływa w takich okolicznościach destrukcyjnie na świadomość najmłodszych).

Utwór Harasymowicza, o którym była mowa, nadal akcentuje rację takiego właśnie stanowiska — pomimo późnego już socrealizmu.

Przypomnijmy: *Bajka* ukazała się w 32 numerze „Życia Literackiego” z 1953 roku. Ponownie ogłoszono ją w „Almanachu Literackim” w roku następnym — z pewnością w przekonaniu o ciągłej aktualności głoszonych postulatów. Ale rok 1954 to moment, kiedy podobne hasła brzmiały jak anachronizmy. I bynajmniej nie dlatego, że od ponad dwóch lat wytaczano już boje schematyzmowi, lecz z racji przeciwwagi, jaką dla „betoniarskich” tekstów stanowić zaczęły utwory „odwilżowe”.

Tropem „Złotego lisa”

Do takich utworów zaliczyć trzeba ogłoszone w grudniu 1954 r. na łamach „Nowej Kultury” opowiadanie Jerzego Andrzejewskiego (z października) zatytułowane *Złoty lis*.⁹ Stało się ono od razu wydarzeniem, w miesiąc później poświęcono mu nawet dyskusję w Sekcji Prozy ZLP.¹⁰ I właśnie w kontekście zjawiska, o którym tu mowa, odczytywano autorskie intencje:

Dosłowny sens opowiadania Andrzejewskiego zamyka się w ukazaniu szkodliwych skutków zabijania u dzieci tęsknoty do fantazji [...] nasze wychowanie powinno dążyć do tego, by rozwijać w dzieciach indywidualność, subtelny sposób myślenia i odczuwania, samodzielność sądów — a wszystko to łączy się właśnie z wyobraźnią.¹¹

W *Złotym lisie* chodzi więc o p r a w o d z i e c k a do indywidualności,

⁹ „Nowa Kultura” 1954 nr 49, s. 4, 5 i nr 50, s. 4–6.

¹⁰ Omówienie tej dyskusji można znaleźć w: *Z życia ZLP. O „Złotym lisie”*, w: „Nowa Kultura” 1955 nr 9, s. 7.

¹¹ Tamże. Inaczej odczytywał *Złotego lisa* np. A. Kijowski (*Nowe opowiadanie Jerzego Andrzejewskiego*, „Twórczość” 1955 nr 10) czy J. Kwiatkowski (*Dwie satyry Andrzejewskiego*, „Życie Literackie” 1955 nr 33).

do snucia wyobrażeń, fantazjowania, kreowania własnego świata. Dlatego też opowiadanie Andrzejewskiego demaskuje mechanizmy systemu, obnaża założenia ówczesnej pedagogiki, pokazuje jej żalosne skutki. Efekt w postaci karykaturalnego obrazu uzyskuje autor zachowując elementy socrealistycznego schematu: pojawiają się kanoniczne opozycje, motywy klasowej świadomości i społecznego zaangażowania, obecny jest temat pracy, a nawet wątek tropienia i demaskowania wroga. Schemat ten obowiązuje także w świecie najmłodszych. Bohaterem opowiadania jest pięcioletni Łukasz. Jego to pewnego dnia odwiedza niespodziewany gość — lis:

Był to przede wszystkim lis [...] z wielką puszystą kitą i co najbardziej zdumiewające: cały był złoty jakąś niezwykłą złocistością, miękką i jedwabistą, lśniąca w mroku zadziwiającym poblaskiem.¹²

Z młodym bohaterem, wędrującym po świecie fantazji i cudowności — wyraźnie solidaryzuje się narrator. Łukasz zdobywa też sympatię odbiorcy, który wraz z nim przeżywa cudowne spotkanie i wszelkie jego następstwa. Racje zdają się być po stronie dziecka. Ale tylko — tego jednego dziecka. Inne bowiem obrazują tragiczne przykłady ofiar systemu.

Nad wyraz żalosa okazuje się rówieśnica Łukasza — „Emilka, córka tokarza z fabryki na Żeraniu”. Wszystko, co najważniejsze i najpiękniejsze ogranicza się dla niej do zdobyczy nowego ustroju, zwłaszcza zaś do osiągnięć Związku Radzieckiego.

Świadomość naszej bohaterki sprowadza się tylko do realiów, nie potrafi przekroczyć tej granicy ani tym bardziej wniknąć w świat złudzeń czy fantazji. Emilka pozbawiona jest całkowicie wyobraźni, nie potrafi nawet na chwilę przenieść się w cudowny świat zmyśleń i dlatego właśnie „nie zobaczy cudu”. Tajemnica, o której jej Łukasz wspominał, to oczywiście złoty lis. Ale odwiedziny dziewczynki w jego pokoju kończą się niepowodzeniem: zamknięciem Emilki w szafie, krzykiem, płaczem, gniewnym rozstaniem. Nie zobaczyła złotego lisa właśnie dlatego, że zabrakło jej dziecięcej wiary (no i odrobiny wyobraźni):

— Nie krzycz [...] nierozumna, jak można nie widzieć? Jak się zgasi światło, to po ciemku można widzieć wszystko, co się chce [s. 127]

— zapewniał Łukasz. Ale Emilka najwyraźniej nie chciała. Podobnie starszy brat Łukasza, dwunastoletni Grześ, który ponad przeżycia i doświadczenia młodszego brata przedkładał współzawodnictwo w gro-

¹² Cytuję według wydania: J. Andrzejewski *Złoty lis*, Warszawa 1955, s. 92. Kolejne cytaty lokalizuję w tekście.

madzeniu makulatury i butelek oraz zebrania swego ogniwa. Na pytanie Łukasza, czy widział kiedyś złotego lisa — odpowiada:

- Coś ty, zwariował? Nie ma żadnych złotych lisów.
- Właśnie, że są.
- Gdzie? Głupstw ci ktoś naopowiadał. Lisy mogą być takie jak u nas, zwyczajne, rude, albo srebrne [s. 98].

Bracia nie mogą się porozumieć. Świat fantazji nie przystaje do rzeczywistych faktów, realiów. Ale też Łukasz nie zamierza szukać złotego lisa wśród „naszych, zwyczajnych, rudych, albo srebrnych”. Grześ zaś nie próbuje zadać sobie trudu, by wniknąć w świat dziecięcych wyobrażeń. Doświadczenia te są mu najwyraźniej obce, jego świadomość została w tym względzie okaleczona. Jeśli w grę wchodzi jakakolwiek zabawa — to musi być ona naśladowaniem czy też odbiciem zdarzeń realnych. Dlatego na urodziny Łukasz dostanie od rodziców traktor z przyczepkami („zupełnie, jak «Ursus», tylko mniejszy”) i pudełko z klockami, a od Grzesia „Stara” — i będzie można budować wieś spółdzielczą i rozpocząć żniwa.

Zgodnie z inicjatywą Krzysztofa, przyjechała z miasta ekipa sportowców celem wzięcia udziału w akcji żniwnej. W pewnym momencie Łukasz wpadł na pomysł, żeby nad polami przeszła ulewna burza z piorunami. Grześ się sprzeciwił.

- Nie! — powiedział stanowczo. — Deszcz nie może padać, szkoda zboża. Nasza spółdzielnia produkcyjna musi być przodująca [s. 144].

Całą zabawę miała uświetnić demaskacja wroga:

- Wiesz — powiedział Krzysztof — zdemaskujmy kułaka.
- Fajno! — zgodził się Grześ.
- Jak zdemaskujecie kułaka? — spytał Łukasz.
- Zwyczajnie — odparł Grześ. — Kułak jest gruby i brzuchaty.
- I ma ohydną mordę — uzupełnił Krzysztof. — Od razu go można poznać [s. 144].

Ale Łukasza takie zabawy nie pociągały. Póki co — żył w innym świecie. Miał zresztą swoją tajemnicę — i naiwnie wierzył, że dzieląc się nią z najbliższymi znajdzie nie tylko zrozumienie, ale i życzliwych przyjaciół dla niecodziennego gościa. Stało się zaś inaczej. Grześ przy każdej okazji wytykał mu kłamstwo (bo Łukasz nie mógł przecież widzieć złotego lisa), koledzy brata naigrywali się z niego, Emilka przeszła nad całym zdarzeniem do porządku dziennego, a zakłopotany ojciec szukał rozwiązania tej dziwnej sprawy w rozmowie z matką:

- Nie wiem, może to jest z mojej strony kapitulacja, a może właśnie zrozumienie naszych czasów, ale wydaje mi się, że najlepiej jest, jeżeli człowiek niczym specjalnym nie odróżnia się od innych ludzi [s. 135–136].

Oto i kwintesencja socrealizmu. Z ust ojca padają kanoniczne formuły żelaznej doktryny. I z pewnością dobrze się dzieje, jeżeli przenikają one

nawet do rozmów potocznych, jeżeli stają się argumentem w ważnej dyskusji o losach dziecka.

Rozmowie tej przypadkowo przysłuchuje się nasz bohater. I mimo pięciu lat — wiele z niej rozumie:

jedno stało się dla niego nagle jasne: matka nigdy złotego lisa nie widziała, więcej — podobnie jak ojciec, jak Grześ, jak Emilka, jak wszyscy w ogóle wykluczała możliwość istnienia złotego lisa, a więc oszukała go, brzydko okłamała [s. 136].

Łukasz pozostał w swoim świecie — sam.

Och lisie, lisie — myślał z bólem — dlaczego się ciebie wyrzeczono? Czemu cię wszyscy lekceważą? Dlaczego nikt cię nie pragnie zobaczyć? [s. 136]

— pyta z poczuciem przegranej. Ale przegrana ta oznaczała nie tylko zlekceważenie przez najbliższych przypadkowego zdarzenia (rzekomych odwiedzin złotego lisa), oznaczała dla Łukasza upadek całego wykreowanego przez niego świata. Nasz bohater jest o krok od zanegowania jego istnienia: nie pobudzając dalej swej wyobraźni, a przede wszystkim nie znajdując w nikim oparcia — traci dziecięcą, naiwną wiarę. Świat fantazji upada, bo już nikt weń nie wierzy, nikt nie znajduje dla niego miejsca w swojej świadomości — nawet rodzice, i wszyscy wokół negują racje jego istnienia. Przyszła więc kolej na Łukasza, by „zrozumiał, że uległ był złudzeniu” („Nigdy nie widziałem złotego lisa — wykrzyknął prawie z tryumfem” — s. 146).

Utwór Andrzejewskiego jest oczywiście w swej ostatecznej wymowie tragiczny: próba samodzielnego wykreowania świata fantazji przez dziecko kończy się niepowodzeniem, można by rzec — dramatycznym sprowadzeniem na ziemię, do świata realiów (zabawek uobecnających zdobycze socjalistycznego państwa: „Ursus”, „Star”, „Warszawa”). I choć finalny okrzyk Łukasza nie oznacza z pewnością natychmiastowej kapitulacji, to jednak stanowi poważny krok na drodze tworzenia klasowej świadomości przedszkolaka. Łukasz bowiem pozostawał w swym świecie samotny, co czyniło go w pewnym sensie — indywidualnością. Ale przecież indywidualność nie cieszyła się w socrealizmie dobrą reputacją: była uznawana za formę dywersji, stawała się dla systemu zagrożeniem, była symptomem zdrady, wrogości. Zwycięstwo Łukasza było więc — choćby w tej perspektywie — niemożliwe, wręcz — wykluczone (sami rodzice zresztą czuwali, by ich dziecko zanadto nie wyróżniało się od innych). Ale poza tym zagadnieniem akcentuje się w utworze kwestię o wiele istotniejszą. Chodzi przecież nie tylko o prawo do indywidualności dla tych, którzy byli lub są indywidualnościami. Chodzi o przywrócenie życiu każdego dziecka tego, co pozwoli mu stać się jednostką samodzielnie myślącą, co pobudzi wreszcie spaczoną

świadomość, okaleczoną wyobraźnię. Chodzi więc o przywrócenie normalności; nie jest bowiem normalne to, że najmłodszy zamiast przeżywać historię dzielnego królewicza bądź wyobrażać sobie obecność złotego lisa zauroczeni są murarzami, MDM-em czy Świętem Rewolucji i Moskwą. Pytanie niezdecydowanej matki: „czy my musimy odbierać dzieciom prawo do fantazjowania?” — jest zatem wyzwaniem rzuconym systemowi, doktrynie, która doprowadziła do unicestwienia pewnych obszarów ludzkiej świadomości. W centrum zagadnienia staje oczywiście deprawacja dziecięcej psychiki i eliminowanie z niej elementarnych dla tego wieku procesów myślowych; pozbawianie najmłodszych możliwości fantazjowania i kreowania własnego świata jest zgubne dla ich wyobraźni. Skutki takiego wychowania są nad wyraz tragiczne: dzieci z bajki Harasymowicza, Emilka, Grześ czy Krzysztof z opowiadania Andrzejewskiego — to jakże godne pożałowania ofiary proletariackiej pedologii. Ale na szczęście i takie „najbardziej obłąkane czarodziejskie bajki” mają swój koniec.

Mariusz Zawodniak

Ten wspaniały mężczyzna od bezkompromisowej krytyki

Dziedziniec strusich samiec jest książką prowokacyjną.¹

Niewinnie anonsowane w podtytule „kilka uwag o życiu umysłowym w Polsce” to w istocie sąd nad intelektualistami, rozrachunek z opozycją, zwłaszcza tą gromadną z lat osiemdziesiątych, choć nie tylko. Rafał Grupiński, autor zjadliwych polemik, znanych już z wcześniejszych publikacji w pismach niezależnych, jest krytykiem (czy raczej pamflicistą) totalnym. Pisze o wszystkim: o psychologii i aksjologii, socjologii i wyołbrzymionej martyrologii, polityce i etyce, kulturze i literaturze. Lecz przede wszystkim pisze o „Pinie”, czyli polskim intelektualistacie, odpowiedzialnym za stan etyki i styl polityki, obraz literatury i niedowład kultury. I tak dalej.

Dwu cech Rafałowi Grupińskiemu odmówić nie sposób: odwagi cywilnej oraz polemicznej zadziorności i pewności siebie. Występuje wszak przeciw poważanym autorytetom własnego środowiska, byłej opozycji,

¹ R. Grupiński *Dziedziniec strusich samiec. Kilka uwag o życiu umysłowym w Polsce*, Poznań 1992, Obserwator.